

JACK REACHER

LEE CHILD

POZIOM ŚMIERCI



Jack Reacher – najtwardszy z twardzieli.
„Manchester Evening News”

ALBATROS

1

Zostałem aresztowany w barze Ena o 12.00. Jadłem właśnie jajka, popijając kawą. Późne śniadanie, nie lunch. Byłem zmęczony i mokry po długim marszu w deszczu od autostrady do granicy miasta.

Bar był nieduży, lecz jasny i czysty. Nowiutki, urządzone na podobieństwo przerobionego wagonu kolejowego. Ot, wąskie pomieszczenie, z długim kontuarem z jednej strony i kuchnią na tyłach. Wzdłuż drugiej ściany stały odgródzone od siebie stoły. Dokładnie pośrodku znajdowały się drzwi.

Siedziałem za stołem przy oknie, czytając porzuconą gazetę. Pisali w niej o kampanii prezydenta, na którego nie głosowałem poprzednim razem i nie zamierzałem głosować teraz. Na zewnątrz deszcz przestał padać, lecz szyby wciąż jeszcze pokrywały lśniące krople. Nagle ujrzałem zajeżdżające na zwirowy parking radiowozy. Poruszały się szybko, hamowały ze zgrzytem, koguty błyskały – czerwone i niebieskie światła odbiły się w ściekających po szkłe kroplach deszczu. Drzwi otworzyły się, ze środka wyskoczyli policjanci, dwóch z każdego wozu, z bronią – dwa rewolwery, dwie strzelby. Ostro. Jeden z rewolwerem i drugi ze strzelbą pobiegli na zaplecze, inna para wpadła przez drzwi.

Ja tylko siedziałem i patrzyłem. Wiedziałem, kto jest w barze: kucharz na zapleczu, dwie kelnerki, dwóch staruszków i ja. W całej tej operacji chodziło o mnie. Byłem w tym mieście niecałe pół godziny, pozostała piątka prawdopodobnie spędziła tu całe życie. Gdyby to dotyczyło jednego z nich, bar odwiedziłby zawstydzony sierżant. Szurając nogami, zaczęłby przeproszać i mamrotać coś do nich, w końcu poprosiłby, by przyszedli na posterunek. Zatem cała ta broń i pośpiech nie były przeznaczone dla nikogo z nich, tylko dla mnie. Wepchnąłem do ust jajko, wsunąłem pod talerz piątkę, złożyłem porzuconą gazetę w mały kwadrat i schowałem do kieszeni płaszcz. Trzymając obie ręce nad stołem, opróżniłem kubek.

Gość z rewolwerem został przy drzwiach. Stał w rozkroku i trzymając oburącz broń, wycelował w moją głowę. Jego towarzysz ze strzelbą podszedł bliżej. Chłopcy byli nieźli – szczupli, wysportowani, sprawni i dokładni. Akcja jak z podręcznika. Pole ostrzału rewolweru obejmowało całą salę, wystrzelona z bliska kula ze strzelby mogła rozmazać mnie na szybie. Zamiana pozycji byłaby błędem, w razie walki wręcz rewolwer mógł chybić, a strzał ze strzelby, oddany z większej odległości, zabiłby aresztującego mnie policjanta i staruszka przy ostatnim stole. No i oczywiście mnie. Jak dotąd wszystko robili dobrze. Bez wątplenia mieli przewagę. Ciasne ścianki odbierały mi swobodę manewru, za mało miejsca, bym cokolwiek zrobił. Rozłożyłem ręce na stole, policjant ze strzelbą podszedł bliżej.

– Nie ruszać się! Policja! – krzyknął.

Wrzeszczał pełnym głosem. Sam pozbywał się napięcia, a do tego próbował mnie przestraszyć, jak z podręcznika. Wściekłość i wrzask rozmiękczały cel. Podniosłem ręce. Facet z rewolwerem ruszył w moją stronę. Ten ze strzelbą zrobił krok do przodu. Stał teraz za blisko. Ich pierwszy błąd. Gdybym musiał, mógłbym złapać lufę i szarpnąć ją w górę. Strzał w sufit, łokieć w twarz policjanta i strzelba zmieniłaby właści-

ciela. Policjant z rewolwerem miał mniejsze pole ostrzału, nie mógł ryzykować trafienia partnera... To mogłoby się źle dla nich skończyć. Ale ja tylko siedziałem z podniesionymi rękami. Gość ze strzelbą wciąż krzyczał i podskakiwał.

– Na podłogę! – ryknął.

Powoli wysunąłem się zza stołu i wyciągnąłem przeguby w stronę policjanta z rewolwerem. Nie zamierzałem kłaść się na podłogę. Nie przed tymi wieśniakami, nawet gdyby sprawdzili tu cały personel posterunku z pistoletami maszynowymi.

Ten z rewolwerem okazał się sierżantem. Był dość spokojny. Gliniarz ze strzelbą pilnował mnie, podczas gdy sierżant schował rewolwer, odpiął od pasa kajdanki i zatrzasnął je na moich przegubach. Z kuchni wyłoniła się wspierająca dwójka. Obeszli kontuar, zajęli pozycję za moimi plecami. Przeszukali mnie bardzo dokładnie. Dostrzegłem, jak sierżant potwierdza coś skinieniem głowy. Nie znaleźli broni.

Ci ze wsparcia złapali mnie za łokcie, właściciel strzelby wciąż pilnował każdego mojego ruchu. Sierżant wystąpił naprzód. Był mocno zbudowanym, wysportowanym białym mężczyzną, szczupłym i opalonym, w moim wieku. Plastikowa plakietka nad kieszenią koszuli głosiła: Baker. Spojrzał na mnie.

– Jest pan aresztowany za morderstwo – oznajmił. – Ma pan prawo zachować milczenie, wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo do adwokata. Jeśli pana na to nie stać, stan Georgia wyznaczy panu adwokata z urzędu, bez dodatkowych opłat. Rozumie pan swoje prawa?

Całkiem niezła wersja obowiązkowej formuły Mirandy. Mówił wyraźnie, nie czytał z kartki. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, co to znaczy i dlaczego jest ważne dla niego i dla mnie. Nie odpowiedziałem.

– Rozumie pan swoje prawa? – powtórzył.

I znów nie odpowiedziałem. Długo doświadczenie na-

uczyło mnie, że najlepszą reakcją jest całkowite milczenie. Powiedz coś, a mogą cię źle usłyszeć, źle zrozumieć, błędnie zinterpretować twoje słowa, co może doprowadzić do skazania i do śmierci. Milczenie drażni aresztującego policjanta. Musi ci powiedzieć, że masz prawo zachować milczenie, ale nie znosi, gdy korzystasz z owego prawa. Aresztowano mnie za morderstwo. Nic nie powiedziałem.

– Rozumie pan swoje prawa? – spytał jeszcze raz Baker. – Mówi pan po angielsku?

Wciąż był spokojny. Milczałem. Miał w sobie spokój człowieka, dla którego chwila zagrożenia minęła. Po prostu zawiezie mnie na posterunek, a potem będę już problemem kogoś innego. Zerknął na swoich trzech towarzyszy.

– W porządku, zapamiętajcie: niczego nie powiedział – mruknął. – Idziemy.

Poprowadzili mnie w stronę drzwi. Ustawiliśmy się w szereg: najpierw Baker, potem gliniarz ze strzelbą idący tyłem – wielka czarna lufa wciąż celowała prosto we mnie. Na plakietce widniało nazwisko Stevenson. On także był białym mężczyzną średniego wzrostu, w wyraźnie dobrej formie. Jego broń wyglądała jak rynna i celowała w mój brzuch. Z tyłu szli faceci ze wsparcia. Ręka jednego z nich, przycięnięta do moich pleców, wypchnęła mnie za próg.

Na zewnątrz, na zwirowym parkingu było gorąco. Deszcz padał chyba całą noc i większość ranka. Teraz wyjrzało słońce, ziemia parowała. Zwykle byłoby to upalne, zakurzone miejsce, dziś jednak wszędzie wokół unosiła się para. Czułem cudowny zapach mokrego chodnika pod gorącymi promieniami południowego słońca. Uniosłem twarz i odetchnąłem głęboko. Tymczasem policjanci znów się przegrupowali – po jednym przy każdym łokciu, Stevenson wciąż tyłem, wciąż ze strzelbą. Szybko pokonaliśmy krótki dystans dzielący nas od radio-wozów. Przy pierwszym z nich Stevenson cofnął się o krok. Baker otworzył tylne drzwi. Policjant z lewej strony pchnął

mnie głową naprzód i zgrabnym ruchem biodra wtłoczył do samochodu. Nieźle. W takiej dziurze z pewnością stanowiło to owoc treningu, nie doświadczenia.

Siedziałem sam z tyłu wozu, od przednich siedzeń oddzielała mnie gruba szklana tafla. Przednie drzwi wciąż stały otworem. Baker i Stevenson weszli do środka. Baker prowadził, Stevenson siedział obrócony i nie spuszczał ze mnie oka. Nikt się nie odzywał. Za nami podążał drugi wóz. Radiowozy były nowe. Cicha, spokojna jazda, czyste, chłodne wnętrze, żadnych trwałych śladów po zdesperowanych, żałosnych ludziach, jadących tam, gdzie ja teraz.

Wyrzależem przez okno. Georgia. Ujrzałem żyzną ziemię, ciężką, wilgotną, czerwoną ziemię. Bardzo długie, proste rzędy niskich krzaków na polach – może orzeszki ziemne? Drobiazg, ale cenny dla uprawiającego bądź właściciela. Czy tutejsze grunty należą do mieszkańców, czy też do wielkich korporacji? Nie miałem pojęcia.

Podróż do miasta trwała bardzo krótko. Samochód z sykiem pokonywał gładki, mokry asfalt. Po niecałym kilometrze ujrzałem dwa budynki – oba nowe, oba starannie wykończone. Posterunek policji i remiza strażacka. Stały samotnie za ozdobionym posągami szerokim trawnikiem na północnym skraju miasta. Ładny przykład wiejskiej architektury i dużego budżetu. Jezdnie wylano gładkim asfaltem, chodniki wyłożono czerwoną kostką. Trzysta metrów na południe ujrzałem oślepiająco białą wieżę kościoła, sterczącą spoza niewielkiej grupki budynków. Widziałem maszty flagowe, markizy, świeżą farbę, zielone trawniki. Obfity deszcz odświeżył powietrze i splukał kurz, teraz miasto parowało w upale. Bogate miasteczko. Bogactwo swe zawdzięczało zapewne dużym dochodom z farm i wysokim podatkom płaconym przez mieszkańców zatrudnionych w Atlancie.

Stevenson wciąż mnie obserwował. Wóz zwolnił i skręcił na półkolisty podjazd przed posterunkiem. Ujrzałem przed

sobą wykuty w ścianie napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Czy powinienem się niepokoić? Zostałem aresztowany w miasteczku, którego nigdy wcześniej nie odwiedzałem, najwyraźniej za morderstwo. Wiedziałem jednak dwie rzeczy. Po pierwsze: nie mogli dowieść, że do czegoś doszło, jeśli do tego nie doszło. A po drugie: nikogo nie zabiłem.

Przynajmniej nie w ich mieście i od bardzo, bardzo dawna.

2

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami długiego, niskiego budynku. Baker wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Policjanci ze wsparcia czekali obok. Stevenson okrążył nasz radiowóz, zajął pozycję naprzeciw Bakera, wycelował we mnie strzelbę. Sprawny zespół, bez dwóch zdań. Baker otworzył mi drzwi.

– W porządku, idziemy – rzucił cicho, niemal szeptem.

Kołysał się na piętach, wodząc wzrokiem dookoła. Powoli pochyliłem się i przekręcając ciało, wysiadłem z samochodu. Kajdanki nie ułatwiały sprawy. Na zewnątrz było jeszcze goręcej. Postąpiłem krok naprzód i zatrzymałem się. Wspierająca dwójka stanęła mi za plecami. Przed sobą miałem wejście do posterunku. Na marmurowej framudze wyryto napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Pod spodem podwójne szklane drzwi. Baker pociągnął jedno skrzydło, które otwarło się z młasknięciem gumowych uszczelek. Jeden ze wspierających pchnął mnie naprzód. Drzwi zamknęły się cicho.

Wewnątrz panował chłód. Wszystko było białe i chromowane, światła jarzeniowe. Czułem się jak w banku albo w firmie ubezpieczeniowej. Wykładzina na podłodze. Sierżant stał za długą ladą recepcyjną, zupełnie jakby miał zaraz spytać: „Czym mogę służyć, proszę pana?” Milczał jednak, jedynie na mnie patrzył. Za plecami miał rozległe pomieszczenie. Ciem-

nowłosa kobieta w mundurze siedziała za szerokim, niskim biurkiem i stukwała w klawiaturę. Uniosła wzrok, zerkając w moją stronę. Stałem bez ruchu pomiędzy dwoma policjantami. Stevenson opierał się o ladę recepcji, nadal celował we mnie ze strzelby. Baker trzymał się z boku i patrzył na mnie, sierżant i kobieta w mundurze także mi się przyglądali, więc i ja spojrzałem na nich.

Potem poprowadzono mnie na lewo. Stanęliśmy przed drzwiami, Baker otworzył je i zostałem wepchnięty do pozbawionego okien pokoju, najwyraźniej sali przesłuchań. Białe stół, trzy krzesła, wykładzina. W górnym rogu kamera. Klimatyzator nastawiono na bardzo niską temperaturę, a ja wciąż byłem mokry po deszczu.

Stałem tak, podczas gdy Baker grzebał mi w kieszeniach, układając mój majątek w niewielki stosik na stole. Zwitek banknotów, kilka monet, paragony, bilety, kawałki papieru. Baker sprawdził gazetę i zostawił mi ją. Zerknął na mój zegarek, ale nie zdjął mi go z przegubu. Nie interesowały go te rzeczy. Wszystko inne trafiło do dużego, zapinanego foliowego worka, wyraźnie stworzonego dla ludzi noszących w kieszeniach znacznie więcej niż ja. Na jego wierzchu nadrukowano białe prostokąt. Stevenson zapisał na nim jakiś numer.

Baker kazał mi usiąść. Potem wszyscy wyszli z pokoju. Stevenson zabrał ze sobą worek. Zamknęli drzwi. Usłyszałem szcęk zamka, niski odgłos dobrze naoliwionej zasuwy, dźwięk wyrażający precyzję. Odgłos wielkiego, stalowego zamka, takiego, który z pewnością zatrzyma mnie w środku.

• • •

Sądziłem, że na jakiś czas zostawią mnie samego. Zwykle tak właśnie się robi. Izolacja budzi w człowieku chęć do rozmowy, a ta z kolei prowadzi często do zwierzeń. Brutalne aresztowanie i godzina odosobnienia to całkiem niezła strategia.

Myliłem się jednak, nie planowali godzinnej przerwy. Być może był to ich drugi niewielki błąd taktyczny. Baker otworzył drzwi i przekroczył próg, w dłoni niósł plastikowy kubek z kawą. Potem wezwał do pokoju kobietę w mundurze, tę, którą dostrzegłem przy biurku. Ciężki zamek szczęknął za jej plecami. Kobieta przyniosła ze sobą metalową walizeczkę. Położyła ją na blacie, otworzyła i wyjęła długą, czarną ramkę na numer. W środku umieszczono białe plastikowe cyfry.

Wręczyła mi ramkę – jej twarz wyrażała profesjonalne, lekko przepraszające współczucie, jakie często widuje się u asystentek dentystów. Ująłem numer skutymi dłońmi, mrużąc oczy, upewniłem się, że nie trzymam go do góry nogami, i uniosłem pod brodę. Kobieta wyjęła z walizeczki aparat fotograficzny, usiadła naprzeciw mnie, oparła łokcie na stole, by ustabilizować aparat. Pochyliła się lekko, jej piersi dotknęły krawędzi stołu. Ładna babka, ciemne włosy, piękne oczy. Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się. Aparat szczęknął, błysnął flesz. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwróciłem się bokiem, demonstrując profil. Przytrzymałem długi numer przy ramieniu, wbijając wzrok w ścianę. Aparat znów szczęknął i błysnął. Odwróciłem się z powrotem i wyciągnąłem tabliczkę w jej stronę, oburącz z powodu kajdanek. Kobieta odebrała mi ją z uśmiechem mówiącym: „Tak, to nieprzyjemne, ale konieczne” – znów zupełnie jak asystentka dentystyczna.

Potem przygotowała zestaw do pobierania odcisków palców. Świeżutka karta oznaczona już numerem, taka, na których miejsca na kciuk są zawsze za małe. Na odwrocie widniały dwa puste kwadraty, czekające na odcisk dłoni. Kajdanki utrudniały cały proces, Baker jednak nie kwapił się ich zdjąć. Kobieta posmarowała moje dłonie tuszem. Palce miała chłodne i gładkie, ani śladu obrączki. Po wszystkim wręczyła mi plik chusteczek. Tusz zszedł bez trudu. Jakiś nowy wynalazek. Nie znałem go dotąd.

Wyjęła film z aparatu i położyła go na stole obok karty z

odciskami. Schowała aparat do walizeczki. Baker zastukał do drzwi. Zazgrzytał zamek. Moja towarzyszka zabrała rzeczy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Kobieta wyszła z pokoju. Baker został ze mną, zamknął drzwi, zamek zaskoczył z tym samym szczękiem. Potem oparł się o framugę i popatrzył na mnie.

– Zaraz tu będzie mój szef – oznajmił. – Musi pan z nim pomówić. Mamy poważny problem. Trzeba go wyjaśnić.

Nie odpowiedziałem. Rozmowa ze mną nie wyjaśni żadnego problemu, ale trzeba przyznać, że gość zachowywał się w porządku, z szacunkiem. Podałem go zatem próbie. Uniosłem ręce w niemej prośbie, by rozpiął kajdanki. Przez chwilę stał w bezruchu, potem wyjął kluczyk, zdjął mi je i z powrotem powiesił u pasa. Spojrzał na mnie, a ja na niego, opuściłem ręce. Nie odetchnąłem z ulgą, nie rozcierałem przegubów ze zboląłą miną. Nie chciałem nawiązywać bliższych kontaktów z tym gościem.

– Zgoda – rzekłem. – Chodźmy do szefa.

Od chwili, gdy zamówiłem śniadanie, odezwałem się po raz pierwszy. Teraz to Baker sprawiał wrażenie, jakby spadł mu kamień z serca. Dwukrotnie zastukał do drzwi. Ktoś z zewnątrz otworzył zamek. Baker nacisnął klamkę i wezwał mnie skinieniem dłoni. W dużym pomieszczeniu czekał już na nas Stevenson. Strzelba zniknęła, wsparcie też. Powoli wszystko wracało do normy. Ustawili się po obu moich stronach, Baker lekko chwycił mnie za łokieć. Przeszliśmy przez otwarte pomieszczenie do drzwi na tyłach. Stevenson pchnął je i znaleźliśmy się w dużym gabinecie. Wszędzie wokół mnóstwo drewna różanego.

Przy wielkim biurku siedział jakiś tłuszcioch. Za jego plecami dostrzegłem wielkie flagi – po lewej gwiazdy i pasy, obszyte złotymi frędzlami, po prawej coś, co jak przypuszczałem, musiało być flagą stanu Georgia. Na ścianie między nimi tykał zegar – okrągły antyk z mahoni, który wyglądał, jakby od

dziesiątków lat polerowano go do połysku. Zapewne pochodził ze starego posterunku, który wyburzyli, by zbudować to miejsce. Może architekt wykorzystał go, by nadać nowemu budynkowi atmosferę ciągłości historycznej. Wskazówki pokazywały niemal wpół do pierwszej.

Grubas za biurkiem spojrzał na mnie, gdy Baker pchnął mnie w jego stronę. Miał wzrok, jakby próbował mnie skojarzyć. Po sekundzie popatrzył ponownie, uważniej. Potem wykrzywił się i odezwał skrzekliwym głosem – gdyby nie kiepskie płuca, ów głos wzniósłby się do krzyku.

– Posadź tyłek na krześle i nie otwieraj parszywej gęby.

Zaskoczył mnie. Wyglądał na prawdziwego dupka – w odróżnieniu od wszystkich, których dotąd spotkałem. Baker i jego zespół byli fachowcami, skutecznymi i sprawnymi, kobieta od odcisków zachowywała się przyzwoicie. Natomiast ten tłusty komendant – strata miejsca! Cienkie, brudne włosy, spocony mimo chłodu panującego w budynku, szara, pokryta czerwonymi plamami cera zapuszczonego grubasa, ciśnienie krwi niebotyczne, arterie twarde jak skały. W ogóle nie sprawiał wrażenia fachowca.

– Nazywam się Morrison – wyrzeźbił, zupełnie jakby cokolwiek mnie to obchodziło. – Jestem komendantem posterunku policji w Margrave, a ty mordercą i przybłądą. Przyjechałeś do mego miasta i nabroiłeś na prywatnym terenie pana Klinera. A teraz złożysz pełne zeznanie mojemu szefowi detektywów.

Urwał i spojrzał na mnie, zupełnie jakby wciąż próbował mnie z kimś skojarzyć albo czekał na odpowiedź. Nie doczekał się, pogroził mi więc tłustym palcem.

– A potem trafisz do więzienia – stwierdził – i wylądujesz na krześle. A ja narobię na twój nędzny, zafajdany grób.

Z trudem dźwignął się z krzesła i odwrócił wzrok.

– Sam bym się tym zajął – oznajmił – ale mam mnóstwo pracy.

Kołysząc się, wyszedł zza biurka. Stałem pomiędzy nim a

drzwiami. Zatrzymał się nagle, jego tłusty nos sterczał mniej więcej na poziomie środkowego guzika mojego płaszcza. Grubas wciąż na mnie patrzył, jakby coś go zastanowiło.

– Ja już cię widziałem – powiedział. – Ale gdzie?

Zerknął na Bakera, potem na Stevensona, zupełnie jakby oczekiwał, że zapamiętają, co mówi i gdzie to mówi.

– Widziałem już tego faceta.

• • •

Trzasnął drzwiami i zostałem z dwoma gliniarzami, czekając na pojawienie się szefa detektywów. Wysoki, czarnoskóry mężczyzna, nie stary, lecz siwiejący i łysiejący, co tylko додаło mu więcej godności. Energiczny, pewny siebie, dobrze ubrany w staroświecki tweedowy garnitur. Zamszowa kamizelka, starannie wypastowane buty. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać komendant. Gestem odesłał Bakera i Stevensona, zamknął za nimi drzwi, usiadł za biurkiem i dłonią wskazał mi krzesło naprzeciwko.

Z hurgotem otworzył szufladę i wyciągnął magnetofon. Uniósł go na długość ręki, rozplątując sznur. Wetknął wtyczkę do gniazdka, podłączył mikrofon, włożył kasetę, nacisnął nagrywanie i pstryknął paznokciem w mikrofon. Zatrzymał taśmę, przewinął. Włączył odtwarzanie, wysłuchał uderzenia paznokcia, skinął głową, ponownie przewinął i zaczął nagrywać. Siedziałem bez słowa, obserwując go.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W powietrzu unosił się jedynie cichutki szmer – powietrze, lampa bądź komputer, albo może obracająca się taśma. Słyszałem powolne tykanie starego zegara, cierpliwe, jakby czasomierz był gotów tykać całą wieczność, bez względu na to, co zrobię. A potem mój towarzysz wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie uważnie. Splótł przed sobą dłonie jak typowy wykształcony elegant.

– W porządku – powiedział. – Mam kilka pytań, zgadza

się?

Głos miał głęboki jak grzmot, ani śladu południowego akcentu. Wyglądał i zachowywał się jak bankier z Bostonu, tyle że był czarny.

– Nazywam się Finlay – oznajmił. – Mam stopień kapitana i kieruję detektywami w tutejszym posterunku. Poinformowano pana o pańskich prawach, ale pan nie oświadczył, że je rozumiał. Zanim przejdziemy dalej, musimy załatwić tę sprawę.

Nie bankier z Bostonu, bardziej gość po Harvardzie.

– Rozumiem swoje prawa – powiedziałem.

Przytaknął.

– Doskonale – rzekł. – Cieszę się. Gdzie jest pański prawnik?

– Nie potrzebuję prawnika – odparłem.

– Oskarżono pana o morderstwo. Potrzebny panu prawnik. Możemy go panu zapewnić bez żadnych opłat. Chce pan, abyśmy go wezwali?

– Nie, nie potrzebuję go – powtórzyłem.

Facet nazwiskiem Finlay przyglądał mi się długo ponad splecionymi palcami.

– W porządku – odparł w końcu. – Będzie pan jednak musiał podpisać formularz. No wie pan, poinformowaliśmy pana, że może pan otrzymać prawnika i zapewnimy go panu bez dodatkowych kosztów, pan jednak kategorycznie odmówił.

– Zgoda.

Z kolejnej szuflady wyciągnął formularz. Zerknął na zegarek, wpisując datę i godzinę. Podsunął mi kartkę, duży krzyżyk zaznaczał miejsce, w którym powinienem się podpisać. Finlay wręczył mi długopis. Podpisałem i oddałem mu formularz. Przebiegł go oczami i umieścił w sztywnej tecze.

– Nie potrafię odczytać pańskiego podpisu – stwierdził. – Toteż dla porządku zacznijmy od imienia, nazwiska, adresu i daty urodzenia.

Znowu cisza. Przyjrzałem mu się uważnie. Uparciuch. Na

oko, jakieś czterdzieści pięć lat. W stanie Georgia czterdziestopięcioletni czarnoskóry nie mógłby zostać szefem detektywów, gdyby brakowało mu uporu. Nie ma co go podpuszczać.

– Nazywam się Jack Reacher – oznajmiłem. – Nie mam drugiego imienia ani adresu.

Zapisał. Nie było tego wiele. Podałem mu datę urodzenia.

– W porządku, panie Reacher – rzekł Finlay. – Jak już mówiłem, mamy sporo pytań. Przejrzałem pańskie rzeczy, ale nie znalazłem żadnych dokumentów, prawa jazdy, kart kredytowych, nic. Twierdzi pan, że nie ma też adresu. Kim więc jest ten gość?

Nie czekał na mój komentarz.

– Kim był mężczyzna z ogoloną głową? – spytał.

Nie odpowiedziałem. Obserwowałem wielki zegar, czekając, by poruszyła się wskazówka minutowa.

– Proszę mi opowiedzieć o tym, co się stało – powiedział.

Nie miałem pojęcia, co się stało. Zielonego. Coś spotkało kogoś, ale nie mnie. Siedziałem bez ruchu. Milczałem.

– Co to jest *Pluribus*? – zapytał Finlay.

Popatrzyłem na niego, wzruszając ramionami.

– Motto Stanów Zjednoczonych, *E Pluribus Unum*? Przyjęte w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku przez Drugi Kongres Kontynentalny, zgadza się?

Finlay jedynie mruknął. Cały czas patrzyłem wprost na niego. Ocenilem, że należy do tych, którzy czasami odpowiadają na pytania.

– O co w tym wszystkim chodzi? – spytałem zatem.

Znów cisza. Teraz nadeszła jego kolej, by na mnie spojrzeć. Widziałem, że się zastanawia, co i jak odpowiedzieć.

– O co tu chodzi? – powtórzyłem.

Oparł się wygodnie, splatając palce.

– Wie pan, o co chodzi – powiedział. – O zabójstwo, z kilkoma bardzo niepokojącymi cechami. Ofiarę znaleziono dziś rano w magazynie Klinera na północnym końcu lokalnej dro-

gi, przy zjeździe z autostrady. Świadkowie zeznali, że widzieli mężczyznę, który oddalał się z miejsca zbrodni. Tuż po ósmej dziś rano. Opis: biały mężczyzna, bardzo wysoki, w długim, czarnym płaszczu, jasne włosy, goła głowa, bagażu brak.

Cisza. Jestem biały, bardzo wysoki i mam jasne włosy. Siedziałem tam ubrany w długi czarny płaszcz, bez czapki i żadnej torby. Dziś rano niemal cztery godziny maszerowałem lokalną drogą, od ósmej do jedenastej czterdzieści pięć.

– Jak długa jest droga? – spytałem. – Od autostrady aż do tego miejsca?

Finlay zastanowił się chwilę.

– Jakież dwadzieścia dwa kilometry.

– W porządku – rzekłem. – Przeszedłem na piechotę całą drogę z autostrady do miasta, dwadzieścia dwa kilometry. Tak pan mówi. Mnóstwo ludzi musiało mnie widzieć. Nie oznacza to, że coś komuś zrobiłem.

Nie odpowiedział. Cała ta sytuacja zaczynała mnie ciekawić.

– Czy to wasz rejon? Aż do autostrady?

– Owszem – odparł. – Nie mamy problemów z jurysdykcją. W ten sposób się pan nie wymknie, panie Reacher. Granice miasta rozciągają się na dwadzieścia dwa kilometry wokół, aż do autostrady. Tamtejsze magazyny są moje, co do tego nie ma wątpliwości.

Zaczekał. Skinąłem głową. Podjął wątek.

– Kliner zbudował to miejsce pięć lat temu. Słyszał pan o nim?

Pokręciłem głową.

– Jak mogłem o nim słyszeć? – spytałem. – Nigdy wcześniej tu nie byłem.

– To lokalna szycha – wyjaśnił Finlay. – Jego fabryka płaci olbrzymie podatki. Dużo na tym zyskujemy bez zwykłych komplikacji, bo jest od nas daleko. Staramy się zatem dbać o to miejsce. Teraz jednak stało się ono areną zabójstwa, a pan

musi nam wiele wyjaśnić.

Gość robił, co do niego należało, ale marnował tylko mój czas.

– W porządku, Finlay – stwierdziłem. – Złożę oświadczenie opisujące dokładnie wszystko, co zrobiłem od chwili przekroczenia granicy waszego parszywego miasteczka do momentu, kiedy zaciągnęliście mnie tutaj, przerywając mi cholerne śniadanie. I jeśli przyda ci się to na cokolwiek, to dam ci cholerny medal, ponieważ niemal przez cztery godziny w ulewnym deszczu stawiałem jedynie kolejne kroki, pokonując cholerne dwadzieścia dwa kilometry.

Było to najdłuższe przemówienie, jakie wygłosiłem od sześciu miesięcy. Finlay siedział bez ruchu, patrząc na mnie. Widziałem, jak zмага się z podstawowym problemem, stojącym przed każdym detektywem. Instynkt podpowiadał mu, że nie jestem właściwym człowiekiem, ale przecież siedziałem przed nim. Co zatem powinien zrobić? Niech się zastanawia. Trzeba wybrać odpowiedni moment. Zamierzałem wspomnieć coś o prawdziwym sprawcy krążącym na wolności, podczas gdy on marnuje czas na mnie. To podsyciłoby jego niepewność. Jednakże Finlay ruszył pierwszy, w niewłaściwym kierunku.

– Żadnych oświadczeń – powiedział. – Ja będę zadawał pytania, a ty na nie odpowiesz. Jesteś Jack, bez drugiego imienia, Reacher. Brak adresu, brak dokumentów. Włóczęga czy co?

Westchnąłem. Był piątek. Ze wskazań wielkiego zegara na ścianie wynikało, że dzień do połowy już upłynął. A ten gość, Finlay, nie zamierzał iść na skróty. Czekał mnie weekend w celi. Pewnie wypuszczą mnie w poniedziałek.

– Nie jestem włóczęgą, Finlay – oznajmiłem. – Tylko włóczykijem. To wielka różnica.

Powoli pokręcił głową.

– Nie wymądrzaj się, Reacher, tkwisz po uszy w gównie. Zdarzyło się coś bardzo niedobrego. Nasz świadek widział,

jak opuszczasz miejsce zbrodni. Jesteś obcy, nie masz dokumentów, nic, więc się nie wymądrzaj.

Nadal robił to, co do niego należało, ale wciąż marnował mój czas.

– Nie opuszczałem miejsca zbrodni – odparłem. – Szedłem cholerną drogą. To różnica, nie? Ludzie uciekający z miejsca zbrodni ukrywają się, nie idą przed siebie. Czemu nie można przejść się drogą? Ludzie robią to cały czas, prawda?

Finlay pochylił się i pokręcił głową.

– Nie – rzekł. – Od dnia wynalezienia samochodu nikt nie pokonał pieszo całej tej drogi. Dlaczego zatem nie masz adresu? Skąd jesteś? Odpowiadaj. Załatwmy tę sprawę.

– Zgoda, Finlay, załatwmy ją. Nie mam adresu, bo nigdzie nie mieszkam. Może któregoś dnia gdzieś się osiedlę, wtedy będę miał adres i przyślę ci widokówkę, a ty zapiszesz go sobie w swoim cholernym notatniku, bo tak bardzo się tym przejmujesz.

Finlay przyglądał mi się przez chwilę, wyraźnie rozważając możliwe metody postępowania. Zdecydował się na cierpliwość. Cierpliwość połączoną z uporem. Nieustępliwy glina.

– Skąd jesteś? – spytał. – Gdzie ostatnio mieszkałeś?

– Co dokładnie masz na myśli, pytając, skąd jestem?

Zacisnął wargi. Wyraźnie go wkurzałem, ale zachował cierpliwość, doprawiając ją jednak lodowatą ironią.

– Nie rozumiesz mojego pytania, więc spróbujmy ująć to jaśniej. Chodzi mi o to, gdzie się urodziłeś, gdzie mieszkałeś w okresie, który uważasz za najbardziej istotny w swoim rozwoju społecznym bądź kulturalnym.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– Dam ci przykład – dodał. – Osobiście urodziłem się w Bostonie, wykształciłem w Bostonie i dwadzieścia lat pracowałem w Bostonie. Powiedziałbym zatem, a ty zgodziłbyś się ze mną, że jestem z Bostonu.

Miałem rację, gość z Harvardu. Gość z Harvardu, któremu

zaczyna brakować cierpliwości.

– Okay – odparłem. – Zadałeś swoje pytania, ja ci odpowiem. Ale najpierw powiem coś jeszcze. Nie jestem tym, którego szukasz. W poniedziałek sam się o tym przekonasz, zrób więc sobie tę grzeczność i nie przestawaj szukać.

Finlay z trudem powstrzymywał uśmiech. Skinął głową.

– Doceniam tę radę i troskę o moją karierę.

– Bardzo proszę.

– Mów dalej – rzucił.

– Zgoda – rzekłem. – Według twojej radosnej definicji pochodzę znikąd, z miejsca zwanego wojskiem. Urodziłem się w bazie armii Stanów Zjednoczonych w Berlinie Zachodnim. Mój stary służył w piechocie morskiej, matka była Francuzką, którą poznał w Holandii. Pobrali się w Korei.

Finlay przytaknął, zapisał coś.

– Byłem wojskowym dzieckiem – ciągnąłem. – Pokaż mi spis amerykańskich baz na całym świecie, tam właśnie mieszkalem. Chodziłem do szkół w dwóch tuzinach różnych krajów. Cztery lata spędziłem w West Point.

– Mów dalej – powtórzył Finlay.

– Zostałem w armii. Żandarmeria wojskowa. Znów służyłem i mieszkalem w tych samych bazach. A potem, Finlay, po trzydziestu sześciu latach bycia najpierw dzieckiem oficera, a potem oficerem, nagle w wielkiej armii zabrakło dla mnie miejsca, bo Sowieci wyciągnęli kopyta. Hurra, cięcia na czas pokoju. Dla ciebie oznacza to, że twoje podatki zostaną wydane na coś innego, dla mnie, że mam trzydzieści sześć lat i jestem bezrobotnym byłym żandarmem wojskowym, a nadęty cywil, który nie przetrwałby nawet pięciu minut w moim świecie, nazywa mnie włóczęgą.

Zastanowił się chwilę. Nie zrobiło to na nim wrażenia.

– Kontynuuj – polecił.

Wzruszyłem ramionami.

– Zatem chwilowo po prostu dobrze się bawię – odparłem.

– Może w końcu znajdę sobie jakąś robotę, może nie. Może gdzieś osiadę, może nie. W tej chwili nie mam tego w planach.

Przytaknął. Znów coś zanotował.

– Kiedy odszedłeś z armii? – spytał.

– Pół roku temu, w kwietniu.

– Od tego czasu gdziekolwiek pracowałeś?

– Żartujesz? Kiedy po raz ostatni szukałeś pracy?

– W kwietniu – odparł, naśladowując mój ton. – Pół roku temu. Dostałem tę robotę.

– I brawo, Finlay.

Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Finlay przyglądał mi się uważnie.

– Z czego żyjesz? – spytał. – Jaki miałeś stopień?

– Majora – powiedziałem. – Kiedy mnie wykopali, dali mi odprawę. Wciąż mam prawie całą, staram się żyć oszczędnie, kapujesz.

Cisza. Finlay wystukiwał długopisem na stole skomplikowany rytm.

• • •

– Pomówmy zatem o ostatnich dwudziestu czterech godzinach – stwierdził.

Westchnąłem. Zaczynają się kłopoty.

– Wsiadłem z autobusu Greyhounda – oznajmiłem. – Przy lokalnej drodze, o ósmej dziś rano. Pieszko przyszedłem do miasta, trafiłem do jadłodajni, zamówiłem śniadanie i jadłem je właśnie, gdy twoi ludzie wpadli do środka i mnie zgarnęli.

– Masz tu jakąś sprawę? – spytał.

Pokręciłem głową.

– Nie pracuję. Nigdzie nie mam żadnych spraw.

Zapisał.

– Gdzie wsiadłeś do autobusu? – spytał.

– W Tampie, wczoraj o północy.

– Tampa na Florydzie?

Przytaknąłem. Ze szczękiem wysunął kolejną szufladę, wyjął z niej rozkład jazdy autobusów, znalazł właściwą stronę i przesunął po niej długim brązowym palcem. Dokładny facet. Spojrzał na mnie.

– To autobus ekspresowy – oznajmił. – Na północ, do Atlanty. Przyjeżdża na miejsce o dziewiątej rano. Nie zatrzymuje się tu o ósmej.

Pokręciłem głową.

– Poprosiłem kierowcę, by się zatrzymał – wyjaśniłem. – Odparł, że nie powinien, ale to zrobił. Zatrzymał się specjalnie dla mnie.

– Byłeś tu już kiedyś?

Ponownie pokręciłem głową.

– Masz tu rodzinę? – naciskał.

– Nie tutaj.

– A gdzie indziej?

– Brata w Waszyngtonie. Pracuje dla Departamentu Skarbu.

– Masz przyjaciół w Georgii?

– Nie.

Finlay zapisał wszystko. Zapadła długa cisza. Wiedziałem dokładnie, jakie będzie jego następne pytanie.

– Więc dlaczego? – spytał. – Czemu wysiadłeś z autobusu na niezaplanowanym przystanku i przeszedłeś w deszczu dwadzieścia dwa kilometry do miasta, do którego nic cię nie sprowadza?

Pytanie za sto punktów. Finlay trafił bezbłędnie. Podobnie trafiłby prokurator, a ja nie dysponowałem rozsądną odpowiedzią.

– Cóż mogę rzec? – odparłem. – To była odruchowa decyzja. Nudziłem się, gdzieś musiałem się wybrać.

– Ale czemu tutaj?

– Nie wiem. Gość obok mnie miał mapę i wybrałem sobie to miasteczko. Chciałem zejść z głównych szlaków. Pomy-

ślałem, że ruszę pętlą w stronę zatoki, może trochę dalej na zachód.

– Ot tak, wybrałeś to miejsce? – spytał Finlay. – Nie chrzań. Niby jak? To tylko nazwa, kropka na mapie. Musiałeś mieć jakiś powód.

Skinąłem głową.

– Pomyślałem, że poszukam śladów Ślepego Blake’a – wyjaśniłem.

– Kto to, do diabła, jest? – spytał.

Widziałem, jak w myślach rozpatruje kolejne scenariusze, niczym komputer szachowy oceniający poszczególne ruchy. Czy Ślepy Blake to mój przyjaciel, wróg, współnik, współ-spiskowiec, nauczyciel, wierzyciel, dłużnik, następna ofiara?

– Ślepy Blake był gitarzystą – wyjaśniłem. – Zmarł sześćdziesiąt lat temu, być może został zamordowany. Mój brat kupił jego płytę. Na okładce wspomniano, że zdarzyło się to w Margrave. Napisał mi o tym. Mówił, że wiosną kilka razy odwiedził służbowo to miasteczko. Pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę tę historię.

Finlay patrzył na mnie, ale z jego oczu nic nie można było wyczytać. Cała ta gadka musiała mu się wydać niezbyt przekonująca. Na jego miejscu też bym tak uważał.

– Przyjechałeś tu w poszukiwaniu gitarzysty? – powiedział. – Nieżyjącego od sześćdziesięciu lat? Czemu? Sam jesteś gitarzystą?

– Nie – odparłem.

– W jaki sposób brat napisał do ciebie, skoro nie masz adresu?

– Napisał do mojej dawnej jednostki – wyjaśniłem. – Przesyłają mi pocztę do banku, w którym umieściłem odprawę. Kiedy wypłacam kasę, dostaję też pocztę.

Pokręcił głową, zapisał coś.

– Autobus z Tamy, o północy, zgadza się?

Przytaknąłem.

– Masz bilet? – spytał.

– Pewnie jest w moich rzeczach. – Przypomniałem sobie Bakera, pakującego do worka wszystkie śmieci z kieszeni, i Stevensona opisującego worek.

– Czy kierowca mógł cię zapamiętać? – naciskał Finlay.

– Może – odparłem. – To nie był zwyczajny przystanek. Musiałem go poprosić.

Nagle poczułem się jak widz. Cała ta sytuacja wydała mi się abstrakcyjna. Moja praca nie różniła się zbytnio od pracy Finlaya. Czułem się dziwnie, jakbym rozmawiał z nim o czyjejś innej sprawie, jakbyśmy byli partnerami, omawiającymi złożony problem.

– Dlaczego nie pracujesz? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami i spróbowałem wytłumaczyć.

– Bo nie chcę pracować. Pracowałem przez trzynaście lat, zaprowadziło mnie to donikąd. – Spróbowałem już grać według ich reguł. Do diabła z nimi, teraz zagram po swojemu.

Finlay wpatrywał się we mnie w milczeniu.

– Miałeś jakieś kłopoty w wojsku? – spytał w końcu.

– Nie więcej niż ty w Bostonie.

Zaskoczyłem go.

– To znaczy?

– Dwadzieścia lat mieszkałeś w Bostonie – odparłem. – Sam mi mówiłeś, Finlay. Czemu zatem jesteś dziś tutaj, w tej małej dziurze na prowincji? Powinieneś żyć z emerytury, łowić ryby na Cape Cod. Jaka jest twoja historia?

– To moja sprawa, panie Reacher – uciął. – Odpowiedz na pytanie.

Wzruszyłem ramionami.

– Spytaj w wojsku.

– Zrobię to, możesz być pewien. Odszedłeś z honorami?

– Czy w przeciwnym razie dostałbym odprawę? – odpowiadałem.

– Dlaczego miałbym wierzyć, że zapłacili ci choćby centa?

Żyjesz jak cholerny włóczęga. Odejdzie z honorami. Tak czy nie?

– Tak – powiedziałem. – Oczywiście.

Znów coś zapisał. Zastanawiał się przez chwilę.

– Jak się czuleś, kiedy cię zwolnili? – spytał.

Zamyśliłem się, a potem wzruszyłem ramionami.

– Niczego nie czulem. Po prostu byłem w wojsku i nagle przestałem w nim być.

– Nie czuleś złości? Zawodu?

– Nie. A powinienem?

– Żadnych problemów? – upierał się, zupełnie jakby coś musiało się zdarzyć.

Czulem, że powinienem udzielić jakiejś odpowiedzi, ale nie potrafiłem niczego wymyślić. Od dnia narodzin służyłem w wojsku. Teraz odszedłem. Wspaniałe uczucie, uczucie wolności, jakby przez całe życie dręczył mnie ćmiący ból głowy, ale ja nie dostrzegałem go, póki nie minął. Jedynym problemem było utrzymanie. Jak się utrzymać, nie rezygnując z wolności? Niełatwo. Od sześciu miesięcy nie zarobiłem nawet centa. Był to mój jedyny problem, ale nie zamierzałem mówić o tym Finlayowi, bo uznałby to za motyw. Pomyślałby, że utrzymuję się z napadania na ludzi i zabijania ich.

– Zmiana nie była łatwa – powiedziałem w końcu. – Zwłaszcza że żyłem tak od dziecka.

Finlay przytaknął. Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Dlaczego akurat ciebie zwolnili? – spytał. – Zgłosiłeś się na ochotnika?

– Nigdy nie zgłaszam się na ochotnika – odparłem. – Podstawowa reguła przeżycia w wojsku.

Kolejna przerwa.

– Specjalizowałeś się w czymś?

– Z początku wykonywałem zwykłe obowiązki. Tak działa system. Potem przez pięć lat zajmowałem się ochroną tajemnic wojskowych, a przez ostatnich sześć czymś innym.

Niech sam spyta.

– Czym?

– Dochodzeniami w sprawie zabójstw.

Finlay odchylił się na krześle, mruknął, ponownie splótł przed sobą dłonie, spojrzał na mnie i wypuścił powietrze. Wycełował we mnie palcem.

– W porządku – rzekł. – Zamierzam to sprawdzić. Mamy twoje odciski, powinny być w aktach wojskowych. Dostaniemy raport o przebiegu twojej służby. Pełny, wszystkie szczegóły. Sprawdzimy twój bilet w firmie przewozowej, znajdziemy kierowcę, pasażerów. Jeśli mówisz prawdę, wkrótce się o tym dowiemy. To ci może ocalić skórę. Niewątpliwie zdecydują o tym pewne szczegóły dotyczące czasu i metod. Jak dotąd, pozostają one niejasne.

Zawiesił głos, wypuszczając powietrze. Spojrzał wprost na mnie.

– Tymczasem będę ostrożny – dodał. – Z pozoru nie wyglądasz dobrze. Włóczęga, bezdomny, bez adresu, bez historii. Wszystko, co powiedziałaś, może okazać się jedną wielką bzdurą. Może jesteś uciekinierem mordującym ludzi na prawo i lewo w dziesięciu różnych stanach. Po prostu nie wiem. Nie oczekuj, że wątpliwości przemówią na twoją korzyść. W tej chwili w ogóle nie powinienem mieć wątpliwości. Zostaniesz pod kluczem, dopóki się nie upewnimy, zgoda?

Tego właśnie się spodziewałem. Na jego miejscu powiedziałbym dokładnie to samo. Teraz jednak spojrzałem na niego i pokręciłem głową.

– Jesteś człowiekiem ostrożnym? Bez wątpienia.

Popatrzył na mnie.

– Jeśli się mylę, w poniedziałek kupię ci lunch u Ena. W ramach rekompensaty za dzisiaj.

Ponownie pokręciłem głową.

– Nie szukam tu kumpla.

Finlay wzruszył tylko ramionami. Wyłączył magnetofon,

przewinął taśmę i wyjął ją. Napisał coś na niej. Nacisnął guzik stojącego na wielkim drewnianym biurku interkomu i wezwał Bakera. Czekałem. Wciąż było mi zimno, ale w końcu wyschłem. Deszcz doszczętnie mnie zmoczył. Teraz wyszło go ze mnie suche biurowe powietrze. Filtr ściągnął całą wilgoć.

Baker zapukał i wszedł do środka. Finlay kazał odprowadzić mnie do celi. Potem pożegnał się skinieniem głowy mówiąc: „Jeśli okaże się, że to nie ty, pamiętaj, iż wykonuję jedynie swoją pracę”. Odpowiedziałem skinieniem. Moje mówiło: „Podczas gdy ty kryjesz swój tyłek, gdzieś na zewnątrz krąży morderca”.

• • •

Areszt stanowił w istocie zaledwie szeroką wnękę w wielkiej sali policyjnej. Pionowe pręty dzieliły ją na trzy cele. Do każdej prowadziły osobne drzwi. Metal połyskiwał miękko, cudownie, wyglądał na tytan. Wszystkie cele wyłożono wykładziną, były jednak zupełnie puste. Ani śladu mebli czy łóżek. Ot, wysokobudżetowa wariacja na temat staroświeckiego aresztu tymczasowego.

– Nie można tu nocować? – spytałem Bakera.

– Nie ma mowy – odparł. – Później przewiozą cię do więzienia stanowego. Autobus przyjeżdża o szóstej. W poniedziałek dostarczy cię z powrotem.

Zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Usłyszałem, jak wokół drzwiczek zaskakują na miejsce zasuw. Zamek elektryczny. Wyjąłem z kieszeni gazetę, zdjąłem płaszcz i zwinąłem w rulon. Położyłem się płasko na podłodze, wsuwając płaszcz pod głowę.

Teraz byłem naprawdę wkurzony. Miałem spędzić weekend w więzieniu. Nie zostanę w areszcie na posterunku. Nie, że bym miał inne plany, ale znałem więzienia cywilne – mnóstwo dezerterów trafia w końcu do cywilnych więzień, jak nie za to, to za coś innego. Biurokraci zawiadamiają wojsko, żan-

darmi wojskowi przybywają po aresztowanego. Widywałem więc cywilne więzienia i nie budziły we mnie szalonego entuzjazmu. Leżałem wściekły, słuchając odgłosów dochodzących z posterunku. Dźwięków telefonów, stukotu klawiatur, tempo rosło i malało. Funkcjonariusze krążyli wokół, rozmawiając zniżonymi głosami.

Spróbowałem dokończyć lekturę pożyczonej gazety. Pełno w niej było pierdoł na temat prezydenta i jego kampanii wyborczej – startował na drugą kadencję. Stary przebywał właśnie w Pensacoli, nad zatoką. Zamierzał zbilansować budżet, nim posiwieją mu wnuki. Obcinał wszystko, niczym szalenie z maczetą wyrąbujący drogę w dżungli. W Pensacoli miał zamiar zająć się strażą przybrzeżną. Straż przybrzeżna od dwunastu miesięcy przeprowadzała stałą akcję – co dzień funkcjonariusze opuszczali wybrzeża Florydy, przeszukując wszystkie statki i łodzie, które przyciągnęły ich uwagę. Początek akcji ogłoszono z wielkimi fanfarami i okazała się ona niewiarygodnym, niespodziewanym sukcesem. Straż przybrzeżna przechwytywała najróżniejszą kontrabandę, głównie narkotyki, ale też broń, no i nielegalnych emigrantów z Haiti i Kuby. W efekcie przestępczość w całych Stanach, tysiące kilometrów dalej, wyraźnie spadła. Ogromny sukces.

Ale teraz akcję zakończono. Fakt, była bardzo kosztowna. W budżecie straży przybrzeżnej pojawił się spory deficyt. Prezydent oznajmił, że nie da się zwiększyć budżetu, mało tego – musi go obciąć. Gospodarka przeżywa kryzys, nie ma innego rozwiązania. Akcja wzmózonych kontroli miała zakończyć się za siedem dni. Prezydent próbował wyjść z tego z twarzą, jak to polityk. Wysocy funkcjonariusze służb bezpieczeństwa byli wściekli, bo uważali, że prewencja jest lepsza niż leczenie objawów. Bywalcy z Waszyngtonu cieszyli się, bo pięćdziesiąt centów wydanych na ulicznych gliniarzy widać znacznie lepiej niż dwa dolary wydane na oceanie trzy tysiące kilometrów od wyborców. Przerzucano się argumentami. Na zamaza-

nym zdjęciu prezydent uśmiechał się promiennie, jak przystało na polityka, mówiąc, że nic nie może poradzić. Przerwałem lekturę, bo wkurzała mnie jeszcze bardziej.

By się uspokoić, zacząłem słuchać w głowie muzyki. Refren „Smokestack Lightning”. W wersji Howlinga Wolfa słyszeć cudowny, zduszony krzyk. Mówią, że aby zrozumieć podróżnego bluesa, trzeba trochę pojeździć koleją. Mylą się. By zrozumieć podróżnego bluesa, trzeba spędzić trochę czasu w zamknięciu, w celi albo w wojsku, gdzieś, gdzie człowiek tkwi w klatce. Gdzieś, gdzie oświetlony komin fabryczny wydaje się odległym pomnikiem niewyobrażalnej wolności. Leżałem tam z płaszczem pod głową, słuchając dźwięczącej w myślach muzyki. Pod koniec trzeciego refrenu zasnąłem.

• • •

Obudziłem się, kiedy Baker zaczął kopać w pręty. Każdemu kopnięciu towarzyszył głuchy brzęk przypominający dźwięk pogrzebowego dzwonu. Baker stał przed całą razem z Finlayem, patrzyli na mnie. Zostałem na podłodze. Było mi całkiem wygodnie.

– Powtórz, gdzie byłeś o północy zeszłej nocy? – spytał Finlay.

– Wsiadałem do autobusu w Tampie – odparłem.

– Mamy nowego świadka – rzucił Finlay. – Widział cię w magazynie. Kręciłeś się tam o północy.

– To bzdura, Finlay. Niemożliwe. Kim, do diabła, jest ów nowy świadek?

– Świadek to komendant Morrison – oznajmił Finlay. – Szef tutejszej policji. Był pewien, że gdzieś cię widział, tak mówi. Teraz przypomniał sobie gdzie.